

Dialog rodzinny

Syn: „Słyszeliście, co się stało w Ukraina?”.

Ojciec: „Nie!”

Matka: „Czy zupa jest wystarczająco słona?”.

Syn: „To jest problem, prawda?”.

Ojciec: „Tak.”

Syn: „Więc jak myślisz?”.

Ojciec: „Masz rację, brakuje trochę soli”.

Matka: „To weź ją”.

Syn: „To dziwne, jak mogło do tego dojść”.

Matka: „Ile dostałeś z matematyki?”.

Ojciec: „Nigdy nic nie rozumiałem z matematyki”.

Matka: „Dziś jest zimno...”.

Mąż słucha swojej żony najwyżej przez 17 sekund, a następnie zaczyna mówić.

Żona słucha męża przez maksymalnie 17 sekund, a następnie zaczyna mówić.

Mąż i żona słuchają swoich dzieci przez...

Dwa sny: szemranie – trzech umarłych (1876)

Utwór, którego akcja rozgrywa się w styczniu 1876 roku, przedstawia jeden z najbardziej sugestywnych „snów” Don Bosco, ulubione narzędzie, którym turyński święty wstrząsał i prowadził młodzież Oratorium. Wizja otwiera się na bezkresną równinę, na której wre praca siewców: ziarno, symbol Słowa Bożego, wykiełkuje tylko wtedy, gdy będzie chronione. Ale żarłoczne kury rzucają się na ziarno, a podczas gdy chłopi

śpiewają wersety ewangeliczne, klerycy odpowiedzialni za ochronę milczą lub są rozproszeni, pozwalając, aby wszystko przepadło. Scena, ożywiona dowcipnymi dialogami i cytatami biblijnymi, staje się przypowieścią o szemraniu, które gasi owoc głoszenia, i przestrogą przed aktywną czujnością. W tonach jednocześnie ojcowskich i surowych, Don Bosco przekształca element fantastyczny w przejmującą lekcję moralną.

W drugiej połowie stycznia Ksiądz Bosko miał sen, z którego zwierzył się niektórym ze swoich. Wówczas ks. Barberis poprosił, ażeby go opowiedział publicznie, gdyż sny podobne bardzo interesowały młodzież przynosiły jej wielką korzyść duchowną i przywiązywały do Oratorium. To prawda – odrzekł na to Ksiądz Bosko; sny te robią dużo dobrego i są chciwie słuchane. Jeśli szkodzą komuś, to tylko moim płucom, które potrzebowaliby mieć żelazne. Rzec można, iż w Oratorium nie ma ani jednego, który przy tych opowiadaniach nie czułby się wstrząśnięty do głębi. Wszak dotyczą one wszystkich i każdy pragnie wiedzieć, w jakim go stanie widziałem, co ma robić, co oznacza to i owo: i tak nie dają mi spokoju za dnia i w nocy. Jeżeli zaś chcę zachęcić do spowiedzi generalnej, to wystarczy, abym opowiedział jakiś sen... słuchaj... – zrobmy tak: w niedzielę ja przyjdę powiedzieć słówko do chłopców, a ty publicznie zapytasz mnie o sen, a wtedy ja go opowiem. I rzeczywiście dnia 25 stycznia, wieczorem, zjawił się Ksiądz Bosko wśród swych ukochanych chłopców z właściwym mu uśmiechem, wyrażającym całą Jego radość, jakiej doznawał, znajdując się pomiędzy nimi. Gdy się uspokoiło ks. Barberis odezwał się: Przepraszam Księdza Bosko, ale chciałem spytać o jedną rzecz.

– No powiedz bez obawy.

– Słyszałem, że Ksiądz Bosko miał sen o kurach, ziarnie i rolnikach, który opowiedział klerykowi Calvi. Czyżby nie był łaskawy opowiedzieć go i nam wszystkim? Bardzo byśmy się cieszyli.

– O, jaki ciekawski... – odezwał się Ksiądz Bosko.

– Niech ja już będę ciekawski, byle nam Ksiądz sen opowiedział. Jestem pewien, że moja prośba jest wyrazem życzenia wszystkich i wszyscy bardzo chętnie posłuchają.

– Jak tak, no to opowiem. Miałem zamiar nic nie mówić o tym, gdyż są w nim rzeczy, które odnoszą się w szczególniejszy sposób do niektórych, no i do ciebie, że będziesz musiał zarumienić się po uszy, lecz skoro już tak chcecie, to opowiem.

– No tak, Księżę Bosko, ale jeżeli miałbym za dużo oberwać, to proszę mi tego zaoszczędzić publicznie.

– Opowiem rzecz tak, jak ją śniłem: każdy niech weźmie, co dla niego. Ale przede wszystkim trzeba pamiętać, że człowiek śni śpiąc i wtedy nie rozumuje: jeśli więc w tym będzie co odpowiedniego dla kogoś, względnie jakie upomnienie, to niech każdy skorzysta, ale bez zbytniego przejmowania się. Powiedziałem, iż mi się śniło, gdy spałem w nocy, bo są i tacy, co śpią za dnia i to z otwartymi oczyma, ku utrapieniu nauczycieli, dla których stają się nieznośni... I tak ciągnął dalej:

Zdawało mi się, że jestem stąd daleko, w Castelnuovo d'Asti, wśród obszernej, pięknej równiny, na uprawnym polu. Do kogo należało, nie wiem. W każdym razie nie było ono nasze. Pracowało tam mnóstwo ludzi. Jedni równali ziemię, inni orali, jeszcze inni siali... Motyki, łopaty, grabie były w ruchu. Pracami kierowali wyznaczeni ku temu przodownicy i zdawało mi się, jakbym i ja również należał do tej grupy. Z przeciwka stały rozśpiewane tłumy wieśniacze. Słuchałem ich, a nie mogąc nic z tego zrozumieć, pytałem sam siebie: Po co tyle tej pracy? I myślałem, że to chyba wszystko potrzebne, by moi chłopcy mieli chleba pod dostatkiem.

Podziwiać trzeba było owych pocziwych wieśniaków, gdyż ani na chwilę w pracy nie ustawali. Zaledwie paru stało tylko śmiejąc się i żartując. Rozglądając się wokoło, ujrzałem przy sobie kilku księży i swoich kleryków. Chyba śnię... – pomyślałem. Wszak moi klerycy są w Turynie, tymczasem to jest Castelnuovo. Zresztą jak to możliwe? Cały jestem okutany ciepło, wczoraj dopiero była zima, a tu zboże sieją? Chwytałem się więc za rękę,

chodzę tam i z powrotem, zaiste nie śnię... toż to prawdziwe pole. Kleryk, który tu stoi to kleryk A; tamten kleryk B. Zresztą niepodobieństwem jest widzieć naraz tyle rzeczy...

Gdy tak się głowiłem, zauważyłem w pobliżu starca, o miłej powierzchowności, który obserwował mnie i innych. Przystąpiłem wtedy do niego i spytałem:

– Powiedz mi, zacny staruszk, co to wszystko znaczy? Nic z tego nie pojmuję... gdzie jesteśmy? co to za pracownicy? co to za pole?...

– Och, ładne pytanie ... Ksiądz, jako kapłan tego nie wie..?

– Ależ proszę mi powiedzieć: sen to, czy jawa? Wszystko, co widzę wydaje mi się niemożliwe.

– Właśnie, że to najmożliwsze w świecie... owszem, to rzeczywistość. Czy sam się o tym nie spostrzegasz? Przecież doprawdy rozmawiasz, przysłuchujesz się, uśmiechasz, żartujesz ...

– No, a jednak – zauważyłem – trafiają się tacy, którym we śnie się zdaje, że rozmawiają, pracują...

– Tym się nie ma co przejmować... ty rzeczywiście jesteś tutaj ciałem i duszą obecny.

– Niechże już i tak będzie. Proszę mi zatem powiedzieć, do kogo to pole należy?

– Wszak uczyłeś się łaciny. Przypomnij sobie wtedy pierwszy rzeczownik drugiej deklinacji według w gramatyki Donata. Musisz ją chyba znać?...

– Oczywiście.. lecz cóż to ma wspólnego z moim pytaniem?

– Owszem, wiele. Bo niech no sobie Ksiądz przypomni, jaki jest pierwszy wzór na drugą deklinację.

– Dominus..

– A w drugim przypadku?

– Domini.

– Bardzo dobrze: Domini. Pole to jest Domini – Pana.

– Aha, zaczynam pojmować...

Zastanowił mnie trochę sposób rozumowania zacnego staruszka. Tymczasem przede mną przesuwali się ludzie, dźwigający wory z ziarnem do siewu, a grupa śpiewacza śpiewała: Exiit, qui seminat, semina semen suum... Ziarno, które nieśli było tak

śliczne, że mi się grzechem wydawało, iż zostanie rzucone w ziemię i zbutwieje...

Nie byłoby lepiej – myślałem sobie – zemleć je i upiec chleba czy ciastek? Lecz wnet przypomniałem sobie, że jeżeli kto nie zasieje ten nie będzie zbierał. Jeśli ziarno nie zostanie wrzucone w ziemię, to nie zakiełkuje, to nie będzie żniwa... Wtem z różnych stron nadleciała cała chmara kur, które zaczęły wydziobywać ziarno zasiane... Chór za śpiewał dalej: Venerunt aves coeli, sustulerunt frumentum et reliquerunt zizanium.

Rzuciłem okiem wkoło: uderzało mnie zachowanie się kleryków. Ten z rękoma założonymi patrzył obojętnie przed siebie, tamten gawędził z kolegami, inni baraszkowali między sobą lub załatwiali jakieś osobiste interesy, ale żaden z nich nie ruszył się nawet, żeby odpędzać ptactwo. Oburzony zwracam się do nich i wołam:

– Od czego tu jesteście? Czy nie widzicie, jak kury wyłuskują ziarno?

– Nie rozumiecie, że zniszczą cały zasiew, jedyną nadzieję pocziwych tych wieśniaków? Cóż potem będzie się zbierać? No, no, cóż tak stoicie milcząc? Czemu nie płoszyć szkodników?

Klerycy wzruszali tylko ramionami i spoglądali na mnie tępyimi oczami. Niektórzy nawet nie raczyli obrócić się ku mnie i zgoła nie interesowali się polem, ani moim upomnieniem.

Doprawdy jesteście bezmyślni – karciłem dalej. Kury już wole mają pełne, a wy nie możecie ich spłoszyć, choćby samym klaśnięciem w dłonie, ot tak... To mówiąc, zacząłem sam klaskać w ręce... Nareszcie kilku ruszyło się i odpędzili ptactwo. A wtedy pomyślałem: No tak, ale teraz, to już za późno, skoro ziarno zostało wydziobane...

A do moich uszu doleciał śpiew wieśniaków: Canes muti nescentes latrare – psy nieme, co nie umieją szczekać... Zwróciłem się do starca trochę zdumiony i równocześnie oburzony:

– Dalejże, staruszkule, wyjaśnij mi, to, co tu widzę, gdyż nic z tego nie pojmuję. Co oznacza ziarno?

– Bardzo to proste: Semen est verbum Dei.

– No, ale co to miało znaczyć, że je kury wydziobały?

Starzec, zmieniając ton głosu ciągnął dalej:

– Och, jeżeli koniecznie chcesz dokładniejszego wytłumaczenia, to zaraz wyjaśnię wszystko.

Pole – to Winnica Pańska, o której wspomina Ewangelia, może również oznaczać serce ludzkie. Robotnikami są pracownicy ewangeliczni siejący słowo Boże, które przyniosłoby obfity owoc w duszach, gdyż gleba ta jest podatna. Lecz cóż się dzieje? Przylatują ptaki niebieskie i wydziobują je.

– Co oznaczają ptaki?

– Chcesz wiedzieć, co oznaczają ptaki? Zaraz ci powiem. Ptaki, to symbole szemrania i wygadywania. Po wysłuchaniu kazania, które wielki mogłoby przynieść owoc w duszy, idzie się z kolegami; z tych jeden krytykuje gesty, czy głos kaznodziei, inny jakąś jego ułomność fizyczną, czy cechy charakteru; jeszcze inny drwi sobie ze stylu... i tak cały owoc kazania przepada. To samo należy powiedzieć o czytaniu dobrych książek. Wszelki skutek dobrej lektury zostaje zniweczony przez jakieś ujemne uwagi na jej temat. Takie wygadywanie tym jest niebezpieczniejsze, że przeważnie odbywa się w skrytości i szerzy się tam, gdzie się najmniej go spodziewamy. Ziarno, chociażby padło na glebę mniej urodzajną, zakiełkuje i zawsze coś przyniesie owocu. Gdy burza przejdzie nad łąkami, choć je poniszczy i powichrzy, zawsze coś pozostanie: nawet gołe ziarno zasiane jest kiepskie, może mało, ale przecież zawsze z niego coś wyrośnie. Lecz, gdy je kury wydziobią, sytuacja jest beznadziejna. Podobnie dzieje się z kazaniami, naukami, upomnieniami. Jeżeli natrafi na przeszkody, jak roztrzepanie lub pokusy, może mniej, ale zawsze coś dobrego w duszy z nich pozostanie, ale jeśli spotkają się ze złośliwym szemraniem, krytyką lub czymś podobnym, to wszystko przepadnie, cały plon zostaje zniszczony. Kto zaś ma klaskać w dłonie, płoszyć i czuć, by takie rozmowy nie miały miejsca, to dobrze wiesz.

– Cóż się jednak stało owym klerykom, że nie przeszkadzali złu? – zapytałem.

– Niestety, nic nie przeszkodzili – potwierdził i ciągnął dalej.

– Stali, gapili się, jak nieme posągi, bezmyślni, obojętni, z

założonymi rękoma, a inni nie mieli odwagi przeciwstawić się złu. Niektórzy nawet, ale na szczęście tych było niewiele, przyłączyli się do szemrzących i brali udział w złych rozmowach, niszcząc tak do krzty działanie Słowa Bożego. Ty, co jesteś kapłanem, nie zapominaj nalegać, upominać, pouczać, nakłaniać bezustannie, nie obawiaj się, że tego może być kiedykolwiek za wiele. Niech wszyscy głęboko przekonają się, jak wielkim złem jest krytykowanie kazań, nauk, pożytecznych rad i wskazówek. Kto jest bierny na widok szerzącego się zła i nie przeciwstawia się mu, zwłaszcza jeśli może, a tym bardziej, jeśli powinien, ten staje się uczestnikiem grzechów cudzych.

Przejęty tymi słowami, chciałem jeszcze zobaczyć, co się dalej dzieje na polu, chciałem upomnieć kleryków i zachęcić ich do pełnienia swego obowiązku. Rzeczywiście niektórzy ruszyli się i przepędzali kury. Ja zaś zrobiwszy kilka kroków naprzód, zawadziłem o porzucone grabie i... przebudziłem się.

A teraz pomijając wszystko, przejdźmy do nauki moralnej.

– Księżę Barberis, co ksiądz ma do powiedzenia na temat tego snu?

– Mam do powiedzenia – odpowiedział ks. Barberis, iż w nim, kto zasłużył otrzymał porządną burę /bastonata/.

– Całkiem słusznie – ciągnął dalej Ksiądz Bosko. Ów sen jest lekcją, która powinna wszystkim posłużyć. Zapamiętajcie sobie, moi drodzy chłopcy, byście trzymali z dala od siebie wszelkie szemranie i unikali go, jako wielkiego zła, jak prawdziwej zarazy. Unikajcie go nie tylko sami, ale dopomagajcie w tym drugim. Dobre rady, usługi, nie sprawiają tyle dobrego, ile uczyni ten, kto przeszkodzi szemraniu, czy złym rozmowom. Zdobądźmy się na odwagę i zwalczajmy je śmiało. Nie masz większego nieszczęścia, jak marnowanie słowa Bożego, a wystarczy nieraz półsłówko, nieroztropny żart ...

Opowiedziałem wam sen, jaki miałem przed paru nocami, ale miałem jeszcze inny ubiegłej nocy, który również chcę wam opowiedzieć, tym bardziej, że jeszcze nie jest tak późno, bo dopiero dziewiąta. Postaram się jednak być krótkim.

Wydawało mi się, że znajduję się w jakiejś miejscowości, już nie przypominam sobie, w jakiej. Ale nie było to ani Castelnuovo, ani Oratorium. Wtem nadbiegł ktoś i woła do mnie: – Księżę Bosko, niech Ksiądz idzie... Księżę Bosko, Księżę Bosko, prędziej, prędziej...

– A cóż tak pilnego – zapytałem.

– Ksiądz nie wie, co się dzieje?

– Nie wiem, wytłumacz się jaśniej – odparłem niespokojny.

– Proszę Księdza, ów chłopak tak dobry i pełny życia, leży ciężko chory i już jest prawie konający.

– Eh, żartujesz chyba... Przecież dzisiaj rano z nim rozmawiałem.

– Nie żartuję bynajmniej, ale mówię szczerą prawdę. Chłopak ten wzywa gorąco Księdza Bosko. Pragnie się z Księdzem widzieć i porozmawiać...

– Prędziej, bo może być za późno...

Pospieszyłem więc za wołającym, choć nie wiedziałem dokąd. Gdy zaś doszliśmy na miejsce, ujrzałem ludzi smutnych i płaczących, którzy mówili:

– Proszę się spieszyć, już kona...

– Ale cóż się stało? – pytam.

Wprowadzono mnie do jakiegoś pokoju, gdzie ujrzałem chłopca śmiertelnie bladego, podobnego raczej do trupa. Silny kaszel dręczył go nieustannie, a z piersi wydobywało się stłumione rżenie tak, iż chory nie mógł nawet słowa wykrztusić.

– Czy to ty jesteś ten a ten? – zapytałem.

– Tak, to ja. Jak się czujesz?

– Ach, bardzo źle... Co ci się stało? Przecież wczoraj, owszem dziś rano, przechadzałem się z tobą pod portykami?

– Tak, odrzekł chłopczyk. Wczoraj i dziś rano przechadzałem się pod portykami, lecz proszę nie zwlekać. Pragnę się wyświadczyć. Pozostaje mi już bardzo mało czasu.

– Bądź spokojny, nie obawiaj się. Świadałeś się przecież przed paru dniami.

– To prawda i zdaje mi się, że nie mam nic ciężkiego na sumieniu. Jednakże pragnę otrzymać rozgrzeszenie, nim stanę przed Boskim Sędzią.

Wysłuchałem jego spowiedzi. Równocześnie zauważyłem, że stan jego pogarsza się z każdą chwilą, bo dech mu zapierało. Trzeba się spieszyć – pomyślałem sobie, jeżeli chory ma przyjąć Wiatyk i otrzymać Ostatnie namaszczenie. A kto wie, czy będzie mógł przyjąć Wiatyk święty z powodu kaszlu... A więc trzeba wziąć przynajmniej oleje święte. Wyszedłem, więc z pokoju i posłałem natychmiast po oleje święte. Chłopcy obecni w pokoju pytali niespokojni:

– Czy doprawdy grozi mu niebezpieczeństwo? Czy już jest konający?

– Niestety – odparłem. Nie widzicie, że oddech staje się coraz cięższy i kaszel dech mu zapiera?

– Może by było jeszcze możliwe przynieść mu Wiatyk i tak posilonego na duszy oddać w ręce Maryi Najświętszej?

Gdy byłem zajęty przygotowaniem potrzebnych rzeczy, słyszę głos: skonał.

Wróciłem do pokoju i zastałem chłopca z oczyma postawionymi w słup, już martwego.

– Umarł? ... – odezwałem się do dwóch, co przy nim czuwali.

– Umarł, umarł – odpowiedzieli.

– Ale jakżeż tak prędko, tak nagle, czyż to doprawdy on?

– Tak, to on – odrzekli mi.

Wierzyć nie mogę własnym oczom: wczoraj jeszcze przechadzał się ze mną pod portykami...

– Tak, tak, wczoraj chodził, a dziś leży martwy, przytaknęli smutno.

– Całe szczęście, że był to chłopak wzorowy – powiedziałem do otaczających mnie chłopców. A pomyślcie, że nie miał nawet możliwości przyjęcia Wiatyku i Ostatniego Namaszczenia. Podziękujmy Bogu, że zdołał się wyświadczyć. Dobry był i przystępował dość często do sakramentów świętych. Możemy mieć nadzieję, że już jest w niebie lub przynajmniej w czyśćcu. A gdyby jego los spotkał któregoś z was, co się działoby z niektórymi?... Uklękliśmy wszyscy i odmówiliśmy psalm: „Z głębokości” – za duszę zmarłego.

Kiedy, wracałem do pokoju, natknąłem się na biegnącego mi naprzeciw z księgarni Ferrarisa, który zatrwożony pyta:

– Czy Ksiądz Bosko wie, co się przed chwilą stało?

– Niestety, wiem. Umarł chłopak N – odparłem.

– Nie o niego chodzi, ale umarli dwaj inni.

– Cóż znowu, którzy?

– Ten i ten...

– A kiedy? Nic nie rozumiem.

– Tak, dwaj inni zmarli, wcześniej, zanim Ksiądz przybył.

– A dlaczego nie wezwaliście mnie ?

– Nie było czasu... Ale niech Ksiądz powie, kiedy ten pierwszy umarł?

– W tej chwili, co dopiero – odpowiedziałem.

– A czy Ksiądz wie, którego dzisiaj mamy – pytał dalej Ferraris.

– Pewno, że wiem. Dzisiaj mamy 22 stycznia, trzeci dzień nowenny do św. Franciszka Salezego.

– Nie – odrzekł Ferraris. Ksiądz Bosko się myli. Niech Ksiądz lepiej zobaczy...

Spojrzałem na kalendarz: był 26 maja.

– To niemożliwe – wykrzyknąłem. Przecież teraz jest styczeń dopiero. Poznaję to choćby z tego, jak jestem ubrany: w maju nikt by się tak grubo nie ubierał. W maju nie ogrzewa się kaloryferów. Nie wiem, co na to powiedzieć, ale dzisiaj rzeczywiście jest 26 maja. Przecież wczoraj dopiero umarł nasz towarzysz, a to był styczeń.

– Myli się Ksiądz, wyjaśniał Ferraris. To było w czasie Wielkanocnym.

– Tego już za wiele: co jedno zdanie, to większa niedorzeczność.

– A jednak było to w czasie wielkanocnym. Miał wielkie szczęście, że umarł na Wielkanoc, większe niż ci dwaj, co zmarli w miesiącu maryjnym.

– Chyba drwiesz sobie ze mnie. Mów jaśniej, gdyż nic z tego nie rozumiem.

– Bynajmniej nie żartuję. Rzecz ma się tak, jak mówię. Jeżeli zaś Ksiądz chce się przekonać, to proszę uważać...

Tu rozłożył ramiona i mocno zaklaskał w dłonie, a ja się przebudziłem.

– Co za szczęście – zawołałem – że to był sen, a nie rzeczywistość.

– A ja się tak przeraziłem...

Taki sen miałem ubiegłej nocy. Nie chcę przypisywać mu szczególniejszej wagi... Wystarczy mi, że ci, których widziałem martwych we śnie, są żywi i zdrowi. Oczywiście nie wypada podawać teraz nazwisk. Będę ich jednak miał na oku, służąc im radą i zachętą według potrzeby, by mogli być na śmierć przygotowani. Niechże jednak nikt nie mówi sobie: to ten lub tamten, ale niech każdy myśli o swej duszy. A nie potrzebujecie z tego powodu posępnieć. Jedyny wniosek, jaki obecnie powinien wam się nasunąć, to ten podany przez samego Boskiego Zbawiciela w Ewangelii: „Estote parati, quia qua hora non putatis, Filius hominis veniet – bądźcie gotowi...”. Ten, co jest nieprzygotowany, by umrzeć dobrze, stale narażony jest na śmierć nieszczęśliwą. Ja przygotowuję się na tę chwilę jak najstaranniej; i wy czyńcie to samo, abyśmy w każdej chwili gotowi byli na wezwanie Boże przejść do wiecznej szczęśliwości. Dobranoc.

Słów Księdza Bosko słuchano zawsze w religijnym skupieniu. Ale kiedy opowiadał te nadzwyczajne rzeczy, wśród setek chłopców zgromadzonych koło Niego, nikt nie kaszlnął, ani szurgnął nogą. Wrażenie, jakie one wywierały, trwało całe tygodnie i miesiące, a wraz z tymi przeżyciami następowały poważne zmiany w zachowaniu się nawet wielkich łobuzów. Całe gromady chłopców oblegały wtedy jego konfesjonał... Jakieś przypuszczenie, że zmyśla te opowiadania, by nastraszyć i pobudzić młodzież do poprawy życia, nikomu nawet nie przyszło do głowy, gdyż przepowiednie śmierci sprawdzały się zawsze, a sny odpowiadały rzeczywistości.

Ale czyż niepokój wywołany podobnymi ponurymi przepowiedniami, nie był dla owej młodzieży gniotącą wszystkich zmorą?... Nie wyglądało. Najpierw, na tak wielką ilość ośmiuset chłopców, jacy wtedy byli w Oratorium, za dużo nasuwało się kombinacji i możliwości, by poszczególne jednostki miały się tym zbytnio niepokoić. Poza tym panowało wśród nich ogólne przekonanie, że kto umiera w Oratorium, idzie na pewno do raju i że Ksiądz

Bosko przygotowuje ich do śmierci tak, iż się nawet o tym nie spostrzegą.

Takie są zgodne wszystkie świadectwa z owych czasów Oratorium.

Kiedy chłopcy poszli spać, niektórzy współbracia otoczyli Księdza Bosko, wypytując natarczywie, czy to nie, który z nich ma wkrótce umrzeć. Ale Święty uśmiechając się swym zwyczajem i potrząsając głową żartował:

– No, no, niechbym powiedział kto jest, a jeszcze umarłby przed czasem...

Ci widząc, że na ten temat nic nie wskórają, zaczęli z innej beczki pytać, czy są wśród nich tacy, którzy należeli do kur w pierwszym śnie, czyli do szemrających. Ksiądz Bosko spojrzawszy po wszystkich z uśmiechem, rzekł : Może się tam jakiś znalazłby... i zamilkł. Wówczas pytali, czy są między nimi psy nieme. Odpowiedział ogólnikowo i zalecił unikać szemrania i złych rozmów oraz przeszkadzać im.

– Biada takiemu księdzu czy klerykowi – mówił Ksiądz Bosko – który przeznaczony do czuwania nad innymi, choć widzi nieporządki, a nie przeszkadza im. Trzeba wam wiedzieć, że przez szemranie nie rozumiem tylko właściwego szemrania, czy obmawiania /Włosi mówią obcinania sukni na plecach / ale wszelkie rozmowy, słowa. dowcipy, które ubliżają w jaki bądź sposób Słowu Bożemu. W ogóle pragnę zaznaczyć, że wielkie jest to zło stać obojętnie wobec nieporządków a nie przeszkadzać im według możliwości. Ktoś odważniejszy zapytał jeszcze, co odnosi się we śnie do ks. Barberisa, bo było w nim ponoć coś i dla niego. A ponieważ widać było, że ksiądz Barberis nie miał nic przeciw, by mu to powiedzieć publicznie, a obecni byli tylko sami księża, Ksiądz Bosko tak odrzekł:

– Eh, ks. Barberis nie kładzie na ten punkt dostatecznego nacisku w swoich kazaniach. Ten rzeczywiście potwierdził, że przez cały rok na temat szemrania nie miał ani raz konferencji do nowicjuszków. Oczywiście z uwagi bardzo skrzętnie skorzystał. Tak rozmawiając weszli po schodach pod pokój Księdza Bosko i ucałowawszy go w rękę udali się na spoczynek. Pozostał tylko ksiądz Barberis, który jeszcze towarzyszył

Księdzu Bosko do jego sypialni, gdzie niespodziewanie nawiązała się dalsza rozmowa przez jakieś pół godziny. Nie było to w zwyczaju Księdza Bosko, ale w tym wypadku był widocznie mocno przejęty tym, co widział i rozmową z księdzem Barberisem chciał się jakoś uspokoić. Między innymi tak mu się zwierzał:

– We śnie widziałem wszystkich i widziałem stan duszy każdego. Poznałem, kto kura, kto pies niemy, czy upomniany zabrał się do roboty czy nie. Tym posługuję się przy spowiedziach, przy napominaniu czy publicznym, czy prywatnym, dopóki to nie odniesie skutku. Z początku nie przypisywałem większej wagi podobnym snom, ale z biegiem czasu przekonałem się, że są one skuteczniejsze od niejednego kazania, a nawet od kolekcji i dlatego z nich korzystam. A czemuż nie miałbym korzystać? Czytamy w Piśmie świętym: Probate spiritus; quod bonum est tenete. Widzę, że chłopcy z nich korzystają, że słuchają ich z przyjemnością, czemu więc miałbym je taić? Owszem, przekonuję się, że one przywiązują ich tym bardziej do Zgromadzenia.

– I ja przekonałem się o tym – przerwał ks. Barberis – jak wielce pożyteczne i zbawienne są te sny. Nawet opowiadane gdzie indziej robią dużo dobrego. Gdzie Ksiądz Bosko jest znany, tam się je opowiada, jak jego sny, a gdzie jest nieznany, tam służą one dobrze, jako symboliczne przypowieści. O gdyby tak można sporządzić ich zbiór i wykorzystać właśnie, jako przykłady alegoryczne w kazaniach. Byłyby one poszukiwane i czytane tak przez małych jak wielkich, przez młodych i starych z wielką korzyścią dla ich dusz.

– Tak, tak zrobiłyby dużo dobrego, jestem o tym głęboko przekonany.

– Wielka szkoda – zauważył z żalem ks. Barberis – że ich nikt nie spisuje.

– Ja, ciągnął dalej Ksiądz Bosko- nie mam czasu, a wielu już nie pamiętam nawet.

– Te, które ja sobie przypominam – podchwycił ks. Barberis – to są sny, które odnoszą się do rozwoju Zgromadzenia pod płaszczem Madonny...

– Ach tak – zawołał Ksiądz Bosko – i zaraz kilka z nich

przypomniał.

Następnie z miną poważną i z pewnym niepokojem dodał:

– Kiedy myślę o swej odpowiedzialności w warunkach, w jakich się znajduję, cały drżę... Jakiż straszny rachunek będę musiał zdać przed Bogiem z tych wszystkich łask, jakich nam udziela dla rozwoju naszego Zgromadzenia.

(MB IT XII, 40-51/MB PL XII, 25-33)

Zdjęcie: shutterstock.com

Krykiet i moneta

Pewien mądry człowiek z Indii miał bliskiego przyjaciela, który mieszkał w Mediolanie. Poznali się w Indiach, gdzie Włoch wybrał się z rodziną na wycieczkę. Hindus pełnił rolę przewodnika Włocha, oprowadzając go po najbardziej charakterystycznych zakątkach jego ojczyzny.

Wdzięczny przyjaciel z Mediolanu zaprosił Hindusa do swojego domu. Chciał się odwdzińczyć i przedstawić mu swoje miasto. Hindus bardzo nie chciał wyjeżdżać, ale uległ naleganiom włoskiego przyjaciela i pewnego pięknego dnia wysiadł z samolotu na lotnisku Malpensa.

Następnego dnia Mediolańczyk i Hindus spacerowali po centrum miasta. Hindus ze swoją czekoladową twarzą, czarną brodą i żółtym turbanem przyciągał spojrzenia przechodniów, a Mediolańczyk przechadzał się dumny, że ma tak egzotycznego przyjaciela.

Nagle, na Piazza San Babila, Hindus zatrzymał się i powiedział: „Słyszysz pan to, co ja?”. Mediolańczyk, nieco oszołomiony, wyteńczył uszy tak bardzo, jak tylko mógł, ale przyznał, że nie słyszał nic poza wielkim hałasem ruchu miejskiego.

„W pobliżu śpiewa świerszcz” – kontynuował z przekonaniem Hindus.

„Myli się pan”, odpowiedział Mediolańczyk. „Słyszę tylko hałas miasta. Poza tym nie łudź się, że w pobliżu są świerszcze”.

„Nie mylę się. Słyszę śpiew świerszcza” – odparł Hindus i z determinacją zaczął szukać wśród liści kilku skurczonych drzewek. Po chwili wskazał swojemu przyjacielowi, który przyglądał mu się sceptycznie, małego owada, wspaniałego śpiewającego świerszcza, który kulił się, narzekając na zakłócających jego koncert.

„Widział pan tego świerszcza?” – powiedział Hindus.

„Ah, jest” – przyznał Mediolańczyk. „Wy, Hindusi, macie o wiele lepszy słuch niż my, biali...”.

„Tym razem się pan myli”, uśmiechnął się mądry Hindus. „Proszę uważać...” Indianin wyciągnął z kieszeni monetę i udając, że tego nie zauważył, upuścił ją na chodnik.

Natychmiast cztery lub pięć osób odwróciło się, by spojrzeć.

„Widział pan to?” – wyjaśnił Hindus. „Ta moneta wydała dźwięk bardziej delikatny i słaby niż cykanie świerszcza. Ale czy zauważył pan, ilu białych ludzi ją słyszało?”.

„Gdzie jest twój skarb, tam będzie i twoje serce”.

Ksiądz Bosko uczestniczy w spotkaniu demonów (1884)

Poniższe strony przenoszą nas w samo serce mistycznych doświadczeń św. Jana Bosko, ukazując dwa żywe sny, które miał między wrześniem a grudniem 1884 roku. W pierwszym śnie Święty przemierza równinę w kierunku Castelnuovo w towarzystwie tajemniczego osoba i rozważa problem braku księży,

ostrzegając, że tylko niestrudzona praca, pokora i moralność mogą sprawić, że rozkwitną prawdziwe powołania. W drugim cyklu snów Bosko uczestniczy w piekielnym soborze: potworne demony spiskują, by zniszczyć rodzące się Zgromadzenie Salezjańskie, szerząc obżarstwo, żądzę bogactw, wolność bez posłuszeństwa i intelektualną pychę. Pośród zapowiedzi śmierci, wewnętrznych zagrożeń i znaków Opatrzności, te sny stają się dramatycznym zwierciadłem duchowych zmagań, które czekają każdego wychowawcę i cały Kościół, oferując jednocześnie surowe ostrzeżenia i świetliste nadzieje.

Bogate w pouczenia były dwa sny, z września i grudnia.

Pierwszy, który miał w nocy z 29 na 30 września, był lekcją dla kapłanów. Zdawało mu się, że szedł drogą w kierunku Castelnuovo, w towarzystwie pewnego starszego kapłana, którego nazwiska nie mógł sobie przypomnieć. Rozmowa zeszła na temat księży. Lavoro, lavoro, lavoro – mówili. Oto dewiza i chwała kapłanów. Ileż dusz w ten sposób można zbawić! Ile rzeczy jest do zrobienia dla chwały Bożej! Och, gdyby misjonarze pracowali gorliwie, gdyby proboszczowie odpowiadali swemu zadaniu, ileż cudów świętości zabłysłoby na świecie! Lecz niestety, ludzie obawiają się trudów i wolą życie wygodne.

Tak gwarząc między sobą uszli kawał drogi, gdy Ksiądz Bosko zaczął narzekać na brak księży: Prawda – potwierdził towarzysz – ale, gdyby wszyscy księża byli kapłanami wedle Serca Bożego, to i ci co są, wystarczyliby.

Iluż to przecież jest takich, którzy dosłownie nic nie robią na niwie kapłańskiej. Jedni żyją właściwie tylko dla swej rodziny, drudzy z obawy, by się nie narazić, do niczego się nie zabierają, a przecież gdyby zdali odpowiednie egzaminy i choćby tylko pomagali w słuchaniu spowiedzi, już by wypełnili poważną lukę... Bóg zawsze budzi powołania stosownie do potrzeb swego Kościoła. Kiedy zaczęto zaciągać do wojska kleryków, obawiano się, co to będzie z powołaniami... zabraknie księży... a tu się okazało, że teraz powołań jest więcej niż przedtem.

No, a co by, zdaniem księdza – zagadnął Ksiądz Bosko – należało obecnie robić, by budzić jeszcze liczniejsze powołania wśród młodzieży?...

Nic innego – brzmiała odpowiedź – jak tylko dbać o jej moralność. Życie czyste jest posiewem powołań.

A co należałoby czynić księżom, ażeby ich powołanie stało się owocne?

Presbiter discat domum suam regere et sanctificare – niech każdy ksiądz nauczy się domem własnym rządzić i uświęcać go. Niech każdy będzie przykładem świętości dla swoich najbliższych i dla swej parafii. A więc żadnych pijatyk, ani światowych rozrywek, ani prowadzenia interesów majątkowych. Kto jest przykładem dla swych domowników, będzie nim i dla wszystkich innych.

Tu ów ksiądz spytał Księdza Bosko, dokąd idzie. Ten wskazał mu na Castelnuovo. Zostawił go wtedy, a sam przyłączył się do gromadki ludzi, idących opodał. Ksiądz Bosko uszedł jeszcze kilka kroków i... obudził się. Być może sen jest reminiscencją odbywanych w tych stronach wycieczek wraz z młodzieżą.

Zapowiedź śmierci salezjanów

Drugi sen odnosi się do Zgromadzenia i podaje przestrogi odnośnie do tego, co mogłoby zagrażać dalszemu jego istnieniu. Właściwie jest to raczej wątek, który snuje się przez szereg nocy.

Było to w nocy 1 grudnia 1884 r. Kleryka Vigliettiego śpiącego w sąsiednim pokoju obudziły przeraźliwe krzyki dochodzące z pokoju Księdza Bosko. Wyskoczył więc z łóżka i nasłuchiwał pod drzwiami jego sypialni. Ten, stłumionym głosem wołał:

Ojej! Ojej! Ratunku! Ratunku! Viglietti niewiele myśląc wpada do pokoju i pyta: Co się dzieje? Czy może Ksiądz chory?

Ach mój drogi Viglietti – powiedział przebudzony. Nie, nie jestem chory... Nic takiego... ale widzisz, nie mogłem tchu chwycić.

No, już dobrze, bądź spokojny i idź spać.

Kleryk usłuchał, ale rano, przyniósłszy Księdzu Bosko śniadanie po Mszy św., wrócił do tematu snu. Wtedy, tak z

ojcowską serdecznością zwierzył mu się Ksiądz Bosko: Mój Viglietti, już naprawdę nie mogę tak dłużej. Płuca mam zerwane od całonocnych krzyków. Czwarta już noc z rzędu, jak trwają te straszne sny, w czasie których muszę krzyczeć, a to mnie okropnie męczy.

Widziałem we śnie długi szereg salezjanów idących jeden za drugim, a każdy niósł drążek zakończony z wierzchu tabliczką z jakimś numerem. A więc na jednej była liczba 73, na drugiej – 30, na następnej 62, itd. Gdy tak wszyscy szli, na niebie ukazał się księżyc, na którym znowu, w miarę jak któryś przechodził, ukazywała się cyfra nie wyższa od 12, otoczona czarnymi punkcikami. Wszyscy oni przemaszerowawszy, szli usiąść nad wykopanym grobem.

Liczby na tabliczce – tak tłumaczył – to liczba lat ich życia, księżyc w różnych fazach, z punkcikami, to dzień śmierci każdego z nich. Byli tacy, co nadchodzili grupami, a więc mają umrzeć w tym samym dniu i roku. Gdybym chciał przytaczać drobne szczegóły, zabrakłoby mi na to czasu.

Ksiądz Bosko towarzyszy spotkaniu diabłów

Trzy noce temu – mówił Ksiądz Bosko – miałem sen. Tylko pokrótce go opowiem. Zdawało mi się, że jestem na wielkiej sali, gdzie szatani omawiali sposoby zniszczenia Zgromadzenia Salezjańskiego, wyglądali jakby lwy, tygrysy, węże czy inne bestie. Właściwy jednak kształt ich był niezdecydowany i raczej miał w sobie coś z kształtów ludzkich. Były to jakieś cienie, które to się podnosiły, to obniżały, to znów się kurczyły, względnie wydymały tak, że wyglądało to, jakby ktoś zapaloną lampę to z tej, to z owej strony podnosił i obniżał. Mamidła te budziły strach.

Otóż, jeden z tych diabłów wysuwa się naprzód i otwiera posiedzenie. Jako pewny środek zniszczenia Zgromadzenia Salezjańskiego proponuje: G U L A – czyli obżarstwo i pijaństwo, dogadzanie żołądkowi, podkreślając równocześnie, że to spowoduje obojętność do dobrego, zepsucie obyczajów, zgorszenie, brak ducha umartwienia, zaniedbanie pracy nad młodzią.

Drugi diabeł na to: Środek to zbyt jednostronny i mało skuteczny. Niewielu da się na niego nabrać. Zresztą zastawa stołowa u tych zakonników jest niewybredna, wino odmierzone, wikt normuje reguła, przełożeni czuwają, by nie było nadużyć, a gdyby się ostatecznie ktoś zapomniał i przebrał miarę, to raczej wzbudzi obrzydzenie u innych, a nie ochotę do naśladowania. Nie, nie, tą bronią nie pobije się salezjanów. Ja proponuję inny środek, o wiele skuteczniejszy dla naszych zamierzeń. Tym środkiem jest ZAMIŁOWANIE BOGACTW. Jeśli do jakiegoś Zgromadzenia zakonnego wciśnie się zamiłowanie bogactw, to w nim przyjdzie zamiłowanie wygód, a więc każdy będzie zabiegał, by zorganizować sobie jakąś sumkę, każdy będzie się starał o siebie, to przyczyni się do zerwania łączności braterskiej, zaniedba się ubogich, by pracować wśród bogatszych. Powoli zacznie się okradać Zgromadzenie... Chciał jeszcze coś dalej wywodzić, ale poderwał się trzeci i rezolutnie zawołał:

Co tam żołądek albo bogactwa. U salezjanów bogactwa mogłyby skusić bardzo niewielu. Salezjanie to wszyscy dziady. Bardzo wątpię, by któryś z nich mógł sobie uciułać jakąś sumkę, bo skąd? Zresztą ich sytuacja jest taka, iż mają tak wielkie potrzeby na utrzymanie chłopców w swoich zakładach, że jakakolwiek suma pieniężna, choćby największa, utonie, że ani śladu po niej nie zostanie. O leżeniu na pieniądzach u nich nie ma mowy!

Ale ja mam środek na skaptowanie ich na naszą stronę. Środek niezawodny, a tym jest WOLNOŚĆ. Doprowadzić ich do pogardy Reguły, by odmawiali podejmowania się pewnych zajęć, jako zbyt ciężkich i mało zaszczytnych, pobudzić ich, by separowali się od swoich przełożonych, obstając przy swoim zdaniu, by wychodzili z domu na różne zaproszenia i tym podobne... a ostateczny rezultat będzie niezawodny.

Dobrze... dobrze – myślał sobie Ksiądz Bosko, słysząc te diabelskie wywody. Mówcie dalej, już ja będę umiał z tego skorzystać i zapobiec złu.

Ale wyskoczył jeszcze czwarty szatan i krzyczy:... Cóż wy też pleciecie, to czas stracony. Przecież przełożeni łatwo ukróćą

te zapędy wolnościowe: po prostu przepędzą ich ze Zgromadzenia... tych wszystkich postępów i gwałcicieli Reguł. Może tam, który dałby się uwieść tym mirażom wolnościowym, ale ogół pozostanie wierny swym obowiązkom. Ja dopiero mam środek, zdolny rozsadzić Zgromadzenie i to od fundamentów, nawet przy największym wysiłku trudno im będzie opanować sytuację. Środek doprawdy radykalny. Tylko posłuchajcie mnie uważnie. PRZEKONAJCIE ICH, IŻ BYĆ UCZONYM, TO JEST TO, CO MA BYĆ ICH NAJWIĘKSZĄ CHLUBĄ. A więc niech uczą się jak najwięcej dla własnej satysfakcji, dla sławy, a nie, by wiedzę swoją oddać na usługi bliźnim i na chwałę Bożą. Stąd, oczywiście, wyniknie dumne obchodzenie się z prostaczkami, lenistwo w posługach duchownych, zaniedba się Oratoria świąteczne, nauczanie dzieci katechizmu... Mowy nie będzie o jakiegokolwiek pracy wśród chłopców opuszczonych, zwłaszcza wśród ulicznej dzieciarni, tym mniej o przesiadywaniu całymi godzinami w konfesjonale. Najwyżej czasem będą łaskawi powiedzieć jakieś kazanie, ale rzadko i to mocno wyczelowane, a jałowe, gdyż wygłoszone dla popisu swoją uczonością, dla uzyskania poklasku, a nie dla zbawienia dusz. Projekt ten przyjęty został z ogólnym uznaniem. Z tego wszystkiego Ksiądz Bosko uświadomił sobie, że może kiedyś nadejść dzień, w którym salezianie jego będą uważali za największe dobro i chlubę swego Zgromadzenia jedynie uczoność, a już najbardziej zląkł się nie tyle sporadycznych faktów podobnego postępowania, ile tego, żeby takie zasady były publicznie, jakby urzędowo przyjęte i praktykowane.

Stał więc spokojnie w kącie owej sali, słuchając tych wywodów i obserwując wszystko bacznie, aż jeden z diabłów zauważył go i rycząc wskazał innym. Na ten znak czarty z wyciem rzuciły się na niego: raz wreszcie z nim skończymy. Iście diabelski był taniec tych piekielnych upiorów koło Świętego. Szarpały go na wszystkie strony, popychały, a on wołał: Ratunku! Puśćcie mnie... Pomocy!... Aż wreszcie zdołał się obudzić wyszarpany głośnym krzykiem.

Lwy, tygrysy i potwory przebrane za baranki

Następnej nocy znów widział Ksiądz Bosko, jak diabeł natarł na salezjanów na odcinku bardzo newralgicznym, kusząc ich wprost i popychając do przekroczenia Reguł. W tym widzeniu mógł się przekonać, kto zachowuje reguły, a kto je przekracza.

Jeszcze bardziej dla Księdza Bosko przerażający był sen nocy ostatniej w tej serii snów. Widział wielkie stado owiec i baranów, które symbolizowały tyłu salezjanów. Zbliżył się wtedy do nich, aby pogłaskać i teraz dopiero spostrzegł, że ich wełna, to nie żadna wełna, ale tylko biała pokrywa wstrętna, pod którą czaiły się lwy, tygrysy, wściekłe psy, pantery, wieprze, niedźwiedzie, a jeszcze każde z tych bestii miało przy sobie jakiegoś dzikiego wstrętnego potwora. W środku tej trzody stało kilku osobników naradzając się między sobą. Ksiądz Bosko niezauważony podszedł bliżej podsłuchać, co oni tak radzą. Właśnie omawiali sposób zlikwidowania Towarzystwa Salezjańskiego.

Wyrznąć wszystkich salezjanów i koniec – mówił jeden.

Nie... nie... lepiej udusić – z właściwym sobie uśmiechem, niby poprawiał drugi.

Ale w tej chwili spostrzegli, że Ksiądz Bosko ich podsłuchuje. Wtedy jednomyślnie wrzasnęli, że od niego właśnie trzeba zacząć i rzucili się, by go rozedrzeć na kawałki.

Wtedy to krzyknął tak głośno, że zbudził kleryka Vigliettiego, śpiącego w sąsiednim pokoju. Ale co przy tych nagabywaniach diabelskich najbardziej gnębiło Księdza Bosko, to był napis, jaki widział rozwieszony nad tą trzodą upozorowanych baranków: „BESTIIS COMPARATI SUNT”.

Skończywszy to opowiadanie, spuścił głowę i zapłakał. Widząc Księdza Bosko tak płaczącego, Viglietti ujął go za rękę a przyciskając ją do serca rzekł:

Ach, Księżu Bosko, my jednak z pomocą Boską, zawsze będziemy ci wierni i twymi dobrymi synami pozostaniemy, czy nie prawda? Drogi Viglietti... tak... bądź dobry... ale przygotuj się na różne wydarzenia. Te sny opowiedziałem ci tylko w najogólniejszych zarysach, bo gdyby mówić o szczegółach, dużo by na to potrzeba czasu. Ale już z tego wnioskuję, iż kilku nie dożyje Bożego Narodzenia...

Och, gdybym mógł w tej chwili przemawiać do chłopców, gdyby moje zdrowie pozwoliło mi przestawać z nimi, jak dawniej, gdybym mógł odwiedzać domy, robić to, co kiedyś czyniłem, odsłaniać każdemu stan jego sumienia, jak go widziałem we śnie, upomnieć niektórych: Złam te lody, odpraw dobrze spowiedź. Oni by może odpowiedzieli. Ależ, wypowiadałem się dobrze! Ja natomiast musiałbym zareplikować, co zataili, w taki sposób, że zamknęliby usta...

Również niektórzy salezjanie, gdybym im oznajmił swe słowa, ujrzeliby konieczność zmiany postępowania i naprawienia poprzednich spowiedzi. Widziałem, kto zachowuje Reguły, a kto nie... Widziałem, kto wstąpi do nowicjatu, a potem wystąpi. Opuszczą szeregi Zgromadzenia i niektórzy salezjanie... Już widzę takich, co nadymają się swą uczonością, gonią za poklaskami i nie przyjmują od nikogo uwag, gdyż uważają ich za nieuków.

Wśród smutków i udręczeń trapiących serce Świętego, Opatrzność zsyłała mu nierzadko i pociechy. Tak na przykład, pod wieczór dnia 3 grudnia, przybył do Oratorium w odwiedziny biskup z Para, owego centralnego obszaru /Brazylii/, widzianego we śnie o misjach salezjańskich. W dniu następnym zwierzał się Vigliettiemu: O jak wielka jest Opatrzność Boża i jak dobra względem nas! Posłuchaj, a potem powiesz, czy nie jesteśmy w sposób szczególny protegowani przez Boga. Ksiądz Albera pisał mi niedawno, że nie może wybrnąć z kłopotów i potrzebuje natychmiast tysiąc franków i oto w tym samym dniu, pewna pani z Marsylii, która od dawna pragnęła widzieć się ze swym bratem zakonnikiem w Paryżu, z wdzięczności za otrzymaną łaskę od Madonny, przyniosła mu owe tysiąc franków.

Ksiądz Ronchail znów potrzebował pilnie cztery tysiące franków i znowu pewna pani pisze dziś do Księdza Bosko, że stawia do jego dyspozycji cztery tysiące franków.

Ksiądz Dalmazzo nie wie, skąd wziąć pieniądze potrzebne na budowę kościoła Najświętszego Serca Jezusowego, a dzisiaj pewna pani składa na ten cel znaczną ofiarę.

Poza tym, w dniu 7 grudnia, odbyła się, jak widzieliśmy, konsekracja biskupa Cagliero. Wszystko to stwierdzało jasno,

że ręka Boża nieustannie spoczywa i błogosławi Dzieła swego SŁUGI.

(MB IT XVII 383-389, MB PL XVII 242-246)

Dary młodzieży dla Maryi (1865)

We śnie opowiedzianym przez księdza Bosko w Kronice Oratorium, datowanym na 30 maja, nabożeństwo maryjne staje się żywym symbolicznym osądem młodzieży z Oratorium: pochod chłopców, każdy z darem, staje przed wspaniale udekorowanym ołtarzem dla Dziewicy. Anioł, stróż wspólnoty, przyjmuje lub odrzuca ofiary, odsłaniając ich moralne znaczenie – pachnące lub zwiędłe kwiaty, ciernie nieposłuszeństwa, zwierzęta uosabiające ciężkie wady, takie jak nieczystość, kradzież i zgorszenie. W sercu tej wizji rozbrzmiewa wychowawcze przesłanie księdza Bosko: pokora, posłuszeństwo i czystość to trzy filary, dzięki którym można zasłużyć na różany wieniec Maryi.

W bolesnych przeżyciach pociechą dla Księdza było nabożeństwo do Matki Bożej, zwłaszcza w miesiącu maju. Z jego słówek zachowało się jedno z 30 maja:

30 maja

Widziałem wielki ołtarz przystrojony wspaniale kwiatami ku czci Madonny oraz chłopców idących procesjonalnie ku niemu. Śpiewali pobożne pieśni, choć nie wszyscy jednakowym głosem. Byli tacy, co robili to doprawdy z artyzmem, inni głosem chrapliwym i brzydkim, inni fałszowali melodię; niektórzy podchodzili milcząco i oddalali się z rzędów, inni bładzili

jakby znudzeni, to szturchali się wzajemnie lub śmiali.

Młodzież składała dary Matce Bożej: bukiety kwiatów większe lub mniejsze: róże, goździki, fiołki etc.. Ale byli i tacy, co przynosili dziwaczne podarunki, np. głowę wieprzka, kota, talerz z ropuchami, królika, baranka i inne.

Przed Ołtarzem Anioł Stróż Oratorium odbierał prezenty od chłopców i składał je na ołtarzu. Gdy chłopcy podawali bukiety, on oglądał je, rozwiązywał, usuwał zeschnięte, potem związane na nowo kładł na ołtarzu. Gdy znalazły się piękne z wyglądu, lecz bez zapachu, jak dalie, kamelie, Anioł odrzucał je również, gdyż Maryja chce rzeczywistości a nie pozoru tylko.

Niekiedy wśród kwiatów znalazły się ciernie lub gwoździe i te również usuwał Anioł. Gdy podszedł ten, co niósł prosię, Anioł powiedział mu groźnie:

– Jak to? Masz odwagę składać taki dar Madonnie? Czy nie wiesz, co znaczy prosię? To jest wstrętne nieskromność. Maryja sama czystość, nie zniesie tego występku. Odejdź stąd natychmiast, bo nie jesteś godny stanąć przed Jej obliczem.

Gdy podszedł któryś z kotem, Anioł powiedział:

– I ty także śmiesz złożyć Maryi taki prezent? Wiesz, co znaczy kot? To symbol kradzieży. I ty chcesz złożyć jej taki dar? To złodzieje tacy, co kradną kolegom pieniądze, książki, wynoszą coś z Oratorium, niszczą odzież marnotrawią pieniądze rodziców, którzy na nich łożą, nie ucząc się. I oddalił ich precz od ołtarza.

Gdy podeszli z talerzami pełnymi ropuch, Anioł powiedział:

– Ropuchy to symbol zgorszenia i wy macie czelność ofiarować je Madonnie? Precz stąd i odegnał ich.

Inni mieli nóż utkwiony w sercu. Oznaczało to świętokradztwa popełnione. Anioł rzekł do nich:

– Nie wiecie, że nosicie śmierć w swej duszy? I jeśli żyjecie jeszcze, to dzięki szczególnej łasce Boga? Inaczej bylibyście zgubieni. Na miłość Boską, pozwólcie sobie wyrwać ten nóż z serca!

I tych również oddalił.

Kolejno chłopcy składali: baranki, króliki, rybki, orzechy,

winogrona itp. Anioł przyjmował to i kładł na ołtarzu. Tak podzieliwszy chłopców na dwie strony: dobrych i złych, dobrym polecił przedefilować koło ołtarza. Ku mojej przykrości, stwierdziłem, że złych znalazło się daleko więcej niż dobrych. Wówczas z jednej i drugiej strony ołtarza zjawili się dwaj inni Aniołowie niosąc dwie wspaniałe tace z uwitymi koronami z róż. Nie były to róże ziemskie, lecz jakby symbole nieśmiertelności. Anioł stróż biorąc je wieńczył nimi chłopców stojących przed ołtarzem. Były tam wieńce mniejsze i większe, wszystkie wspaniałe.

Zauważcie, że nie byli to tylko chłopcy z domu, lecz mnóstwo innych, których dotąd nie znałem. Ale oto stała się rzecz dziwna! Byli tam chłopcy z wyglądu mizerni i niesympatyczni, ale otrzymywali najpiękniejsze korony, znakiem tego, że wewnętrzna czystość ich duszy uzupełniała brak powierzchowności. Wielu posiadało tę cnotę, lecz nie w stopniu wybitnym. Inni wyróżniali się w innych cnotach, na przykład w posłuszeństwie, miłości Bożej, wszyscy ci otrzymywali korony proporcjonalnie do swych cnót.

Anioł przemówił do nich:

– Maryja chciała was dzisiaj uwieńczyć pięknymi różami. Starajcie się nigdy ich nie stracić. Trzy są środki dla ich zachowania: pokora, posłuszeństwo, skromność: trzy cnoty, przez które staniecie się dla Madonny mili, a kiedyś otrzymacie wieniec nieskończenie piękniejszy niż ten. Wówczas młodzież zaintonowała hymn *Ave Maria stella*. Po odśpiewaniu pierwszej zwrotki, w tym samym porządku zaczęli wychodzić z kościoła śpiewając pieśń *Lodate Maria* głosem tak potężnym, że zdumiewało mnie. Towarzyszyłem im jakiś czas, potem wróciłem się, by obserwować, co się stanie z chłopcami odłączonymi na bok, lecz ich już nie zobaczyłem.

Moi drodzy!

Wiem, którzy byli nagrodzeni przez Anioła, a którzy odrzuceni. Powiem o tym poszczególnym, by starali się przynosić Madonnie dary jej miłe.

Teraz parę uwag: pierwsze, przynosiliście wszelkiego rodzaju

kwiaty Madonnie, lecz zauważyłem, że wśród nich trafiały się kolce. Myślałem wiele, co by to znaczyło i przekonałem się, że jest to nieposłuszeństwo, trzymanie pieniędzy i nie oddawanie ich prefektowi, zmienianie miejsca bez pozwolenia, wchodzenie do sypialń przekraczając zakaz, fundowanie podwieczorku potajemnie, wylegiwanie się w łóżkach, opuszczanie przepisanych praktyk religijnych, rozmawianie w czasie milczenia, kupowanie książek bez wiedzy przełożonych, wysyłanie listów pokątnie, handel między kolegami, oto, co oznaczały ciernie.

Wielu spyta może: Czy to grzech przekraczanie przepisów domowych? Zastanawiałem się nad tą kwestią i muszę odpowiedzieć stanowczo, że tak. Nie chcę powiedzieć, że to grzech ciężki czy lekki, to zależy od okoliczności, lecz zawsze jest przekroczenie grzeszne.

Ktoś powie: Nie ma przepisu w przykazaniach Bożych, że winniśmy słuchać regulaminu domowego.

Otóż posłuchajcie: Jest przykazanie: Czcij ojca i matkę swoją! Wiecie, co oznaczają słowa: ojciec, matka? Obejmują także tych, co ich zastępują. A Pismo Św. mówi: „Bądźcie posłuszni waszym przełożonym”. Jeśli macie obowiązek słuchać, to my mamy obowiązek rozkazywać. Oto początek regulaminu domowego i obowiązek jego zachowania.

Druga uwaga: Niektórzy mieli między kwiatami gwoździe, które służyły do ukrzyżowania Pana Jezusa. Jak to? A no zaczyna się zawsze od małych rzeczy, potem przechodzi się do poważniejszych. Któryś chciał mieć pieniądze dla zadowolenia swych zachcianek; dlatego by móc je wydawać samowolnie, nie chce złożyć je w depozyt przełożonemu. Potem sprzedawał swe książki szkolne i skończył kradzieżą pieniędzy i rzeczy kolegów. Drugi folgując smakowi kupował wino, lemoniadę etc., pozwalał sobie coraz więcej aż wpadł w grzechy śmiertelne. Oto, w jaki sposób znalazły się wśród kwiatów gwoździe, którymi krzyżowano Zbawiciela. Wszak Apostoł mówi, że grzechy ludzkie krzyżują Zbawiciela.

Trzecia uwaga: Wielu chłopców w swych bukietach miało obok świeżych kwiatów zwiędłe lub na oko piękne, lecz bez zapachu.

Znaczy to, że ich dobre uczynki były spełnione w stanie grzechu śmiertelnego, dlatego nieskuteczne dla powiększenia ich zasługi, a kwiaty bez zapachu oznaczały dobre uczynki spełniane dla celów ziemskich, np. z ambicji lub dla przypodobania się nauczycielom lub przełożonym. Dlatego Anioł ganił ich, że przynosili takie prezenty dla Matki Najświętszej i odsyłał, by uporządkowali swój bukiet. Cofnięci rozkładali bukiet, wyrzucali kwiaty zwiędłe i na nowo związawszy go przystępowali do ołtarza wręczając Aniołowi, który wtedy go przyjmował i kładł na ołtarzu.

Widziałem, zatem wszystko, co się dzieje wśród mych chłopców. Wielu już o tym powiedziałem, innym jeszcze powiem. Wy starajcie się, by Najświętsza Dziewica otrzymywała od was zawsze dary, które nie zostałyby odrzucone.

(MB IT VIII, 129-132, MB PL, 76-80)

Zdjęcie otwierające: Carlo Acutis podczas wizyty w sanktuarium maryjnym w Fatimie.

Chusteczka czystości (1861)

16 czerwca, ksiądz Bosko jako wiązanek na słówku dał chłopcom polecenie specjalnej modlitwy, o łaskę przejrzenia dla tych z małpą, których liczba jest dość znaczna.

Wieczorem, 18 czerwca, opowiedział następującą historyjkę, czy rodzaj snu, 371 jak to nazwał, kiedy indziej.

Przytaczamy go za księdzem Ruffino:

„Zaledwie zasnąłem, poczułem silne uderzenie o łóżko. Obudzony tym usiadłem rozglądając się niespokojnie po pokoju, ale nic nie zauważyłem. Może piorun, pomyślałem sobie i chcę dalej spać, ale ledwie zacząłem usypiać, ponowił się ten sam

wstrząs. Wyskoczyłem z pościeli, szukam pod łóżkiem, pod stołem, przeglądam wszystkie kąty, a nic nie zauważywszy podejrzanego poleciłem się Boskiej Opatrzności i przeżegnawszy się wodą święconą, ułożyłem się do spoczynku. Teraz fantazja moja zaczęła pracować i ujrzałem rzeczy, które właśnie opowiem.

Zdawało mi się, że jestem na ambonie i mam zaczynać kazanie w naszym kościele. Chłopcy siedzieli jak zwykle na swoich miejscach i czekali w milczeniu z oczyma utkwionymi we mnie. Ja jednak czułem się dziwnie zakłopotany, co mi się jeszcze nigdy nie przydarzyło. Wprost nie wiedziałem, od czego zacząć, taką czułem pustkę myślową w głowie. Oto naraz znika sprzed moich oczu i kościół i chłopcy, a ja widzę, że jestem na jakimś polu.

– Cóż to ma znaczyć? Pytam sam siebie: kościół, chłopcy, kazanie, a teraz pole?

Zacząłem, więc szukać kogoś, kto mógłby mi to wytłumaczyć.

Naraz spostrzegam w pięknym parku opodał, wspaniały pałac z wielkimi balkonami i werandami. Przed nim był obszerny plac, na którym z prawej strony tłoczyła się wielka rzesza chłopców, koło jakiejś Pani. Zbliżywszy się zobaczyłem, że rozdaje pomiędzy tych malców chusteczki, zalecając każdemu z osobna, by nigdy jej nie rozwijał, gdy wieje wiatr.

– A gdyby się zdarzyło, że zaskoczyłby cię wichur przestrzegała, a miałbyś chusteczkę rozwiniętą, to, czym prędzej obróć się na prawo, a przenigdy na lewo.

Chłopcy otrzymawszy chusteczki, wychodzili na taras przed pałacem i ustawiali się w milczeniu długim rzędem. Tu powoli, jeden po drugim, zaczęli rozwijać otrzymane chusteczki i z przyjemnością je oglądali.

Były one dosyć wielkie, z materii bardziej delikatnej, haftowane złotem z napisem także złotym: „REGINA VIRTUTUM – Królowa cnót”.

Tymczasem od północy zaczął powiewać lekki wietrzyk, który szybko się wzmacniał i naraz zerwała się gwałtowna burza z gradem, deszczem, a na końcu ze śniegiem. Oczywiście chłopcy, pomimo przestrogi, owej pani jedni zdążyli zwinąć chusteczki,

inni odwrócili się na prawo i tych chusteczki ocalały. Ale u tych, co chusteczki nie starali się ochronić, trzymając je wystawione na burze, nie tylko grad je dziurawił, ale nawet deszcze i śnieg przebijały i niszczyły.

Po niedługiej chwili piękne te serwety zamienione zostały w strzępy zmięte i ochłapane. Niemile tym zaskoczony, podszedłem przypatrzeć się chłopcom z bliska i ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, poznałem swoich chłopców z Oratorium i to każdego z osobna wyraźnie. Zbliżyłem się, zatem do owej Pani, co rozdawała te chusteczki, by ją zapytać, co to wszystko ma znaczyć? Pani ta, którą w tej chwili otaczało kilku mężczyzn, zwróciwszy się do mnie zapytała:

– Czy widziałeś napis na tych chusteczkach?

– Widziałem, było: REGINA VIRTUTUM

– I nie wiesz, co to znaczy?

– Owszem, to wiem.

– Stąd łatwo wywnioskujesz, że ci chłopcy narazili cnotę czystości na pokusę. Ale jedni, skoro się spostrzegli o niebezpieczeństwie, zaraz od niego uciekli, to ci, co chusteczki zwinęli na czas. Drudzy zaskoczeni nagabywaniem zła, a nie mogąc uniknąć zaraz niebezpieczeństwa, odwrócili się na prawo, czyli zwrócili się z modlitwą o pomoc do Boga i tak pokazali plecy nieprzyjacielowi. Ale ci ostatni, z chusteczkami wystawionymi na burzę i grad pokus, ulegli grzechowi.

Rozpacz opanowała mnie na widok, jak mało było tych, co umieli się zachować nietkniętą cnotę czystości. Rozpłakałem się tak serdecznie i dopiero po dłuższym czasie, gdym się trochę uspokoił, zapytałem:

– Ale jak to jest, że nie tylko wichura i grad targał te chusteczki, ale nawet kropelki deszczu i lekkie płatki śniegu były w stanie je dziurawić? Czy te krople, względnie płatki, oznaczają może grzechy powszechnie?

– A czy nie wiesz, że w tym względzie *non datur parvitas materiae*? Nie ma wykroczeń drobnych. Ale nie martw się: chodź i zobacz.

Jeden człowiek z orszaku owej pani skinął na chłopców i

zawołał:

– Wszyscy na prawo!

I prawie wszyscy obrócili się na prawo a u tych, co tego nie uczynili, chusteczki zupełnie się rozlazły.

U tych zaś, co usłuchali, zostały naprawione, tak, że nie było znaku dziury, ale już były o wiele mniejsze, u jednych krótsze, u drugich dłuższe, a przy tym ich wygląd w porównaniu z poprzednim robił przykre wrażenie.

Pani ta zauważyła jeszcze:

– Oto ci. Co spowiedzią naprawili szkody wyrządzone ich duszy przez grzech. Zaś ci, co polecenia nie usłuchali, to dalej grzęzną w grzechu i niewykluczone jest ich wieczne potępienie.

W końcu dodała:

– *Nemini di cito, sed tantum admone* – nie mów nikomu, w jakim stanie go widziałeś, lecz tylko upominaj”.

(MB IT VI, 972-975, MB PL VI, 370-373)

Zabiłem ją z powodu kawałka chleba

Mężczyzna, który od dwudziestu lat nie wchodził do kościoła, z wahaniem podszedł do konfesjonału. Uklęknął i po chwili wahania powiedział przez łyżę: „Mam krew na rękach. To było podczas misji w Rosji. Każdego dnia ktoś z moich ludzi umierał. Głód był straszny. Kazano nam nigdy nie wchodzić do izb bez karabinu w rękę, gotowi strzelać na pierwszy znak... Tam, gdzie wszedłem, był starszy mężczyzna i blondynka o smutnych oczach: „Chleba! Proszę mi dać trochę chleba!”. Dziewczyna pochyliła się. Myślałem, że sięga po broń, bombę. Strzeliłem zdecydowanie. Upadła na ziemię.

Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że dziewczyna trzyma w

dłoni kawałek chleba. Zabiłem 14-latkę, niewinną dziewczynę, która chciała poczęstować mnie chlebem. Zacząłem pić, by zapomnieć: ale jak?
Czy Bóg może mi wybaczyć?"

Ktokolwiek chodzi z naładowanym karabinem, w końcu strzela. Jeśli jedynym narzędziem, jakim dysponujesz, jest młotek, w końcu postrzegasz wszystkich innych jako gwoździe. I spędzasz dzień na wbijaniu gwoździ.

Halloween: święto, które warto obchodzić?

Mądrzy ludzie mówią nam, że aby zrozumieć jakieś wydarzenie, trzeba wiedzieć, jakie jest jego pochodzenie i jaki jest jego cel. Tak jest również w przypadku powszechnego obecnie zjawiska Halloween, które bardziej niż świętem jest wydarzeniem do refleksji. Ma to na celu uniknięcie celebrowania kultury śmierci, która nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem.

Halloween, w obecnym kształcie, jest świętem, które ma swoje komercyjne korzenie w Stanach Zjednoczonych i rozprzestrzeniło się na całym świecie w ciągu ostatnich trzech dekad. Obchodzone jest w nocy z 31 października na 1 listopada i ma kilka własnych symboli:

- **Kostiumy:** przebieranie się w przerażające stroje, aby reprezentować fantastyczne postacie lub potworne stworzenia.
- **Rzeźbionedynie:** tradycja rzeźbienia dyń, wkładania światła do środka w celu stworzenia lampionów (*Jack-o'-lantern*).
- **Cukierekalbopsikus:** zwyczaj pukania do drzwi domów i proszenia o słodczy w zamian za obietnicę, że nie będzie się robić żartów (*"Trick or treat?"*).

Wydaje się, że jest to jeden z komercyjnych festiwali kultywowanych celowo przez niektóre zainteresowane strony w celu zwiększenia ich przychodów. W 2023 r. w samych Stanach Zjednoczonych wydano na niego 12,2 miliarda dolarów (według National Retail Federation), a w Wielkiej Brytanii około 700 milionów funtów (według analityków rynku). Liczby te wyjaśniają również szeroki zasięg medialny, z prawdziwymi strategiami promocji wydarzenia, przekształcając je w zjawisko masowe i przedstawiając je jako okazjonalną rozrywkę, grę zbiorową.

Pochodzenie

Jeśli poszukamy początków *Halloween* – ponieważ każda rzecz ma swój początek i koniec – odkryjemy, że wywodzi się ono z politeistycznych pogańskich wierzeń świata celtyckiego.

Starożytny lud Celtów, koczowniczy lud, który rozprzestrzenił się po całej Europie, był w stanie najlepiej zachować swoją kulturę, język i wierzenia na Wyspach Brytyjskich i w Irlandii, na obszarze, do którego Imperium Rzymskie nigdy nie dotarło. Jedno z ich pogańskich świąt, zwane *Samhain*, obchodzone było między ostatnimi dniami października a początkiem listopada i było „nowym rokiem”, który otwierał kolejny roczny cykl. Ponieważ długość dnia się skracała, a długość nocy wydłużała w tym czasie, wierzono, że granica między światem żywych i umarłych stała się cienka, umożliwiając duszom zmarłych powrót na ziemię (także w postaci zwierząt), a także umożliwiając wejście na świat złym duchom. Dlatego używano przerażających masek, aby zmylić lub odpędzić duchy, aby nie zostać dotkniętym ich złym wpływem. Obchody były obowiązkowe dla wszystkich, rozpoczynały się wieczorem i składały się z magicznych rytuałów, rytualnych ognisk, ofiar ze zwierząt i prawdopodobnie także ofiar z ludzi. W te noce ich kapłani druidzi udawali się do każdego domu, aby otrzymać coś od ludzi za swoje ofiary, pod karą klątwy.

Zwyczaj rzeźbienia rzepy w kształcie potwornej twarzy, umieszczania w niej światła i umieszczania jej na progu domów,

z czasem dał początek legendzie, która lepiej wyjaśnia jej znaczenie. Jest to legenda o irlandzkim kowalu *Stingy Jacku*, człowieku, który kilkakrotnie oszukuje diabła, a po śmierci nie trafia ani do nieba, ani do piekła. Będąc w ciemności, zmuszony do szukania miejsca na wieczny odpoczynek, poprosił i otrzymał od diabła płonącą lampę, którą włożył do rzepy, którą miał przy sobie, tworząc latarnię: *Jack-o'-lantern*. Nie znalazł jednak spokoju i wędruje tak po dziś dzień. Legenda chce symbolizować potępione dusze, które błakają się po ziemi i nie znajdują odpoczynku. Wyjaśnia to zwyczaj umieszczania brzydkiej rzepy przed domem, aby wzbudzić strach i odstraszyć wszelkie błakające się dusze, które mogą zbliżyć się tej nocy.

W świecie rzymskim istniało również podobne święto, zwane *Lemuria* lub *Lemuralia*, poświęcone trzymaniu duchów zmarłych z dala od domów; obchodzono je 9, 11 i 13 maja. Duchy nazywano „lemurami” (słowo „lemur” pochodzi od łacińskiego *larva*, oznaczającego „ducha” lub „maskę”). Uważano, że obchody te są związane z postacią Romulusa, założyciela Rzymu, który podobno ustanowił rytuały, aby uspokoić ducha swojego brata Remusa, którego zabił; wydaje się jednak, że święto zostało ustanowione w pierwszym wieku naszej ery.

Ten rodzaj pogańskich obchodów, występujący również w innych kulturach, odzwierciedla świadomość, że życie po śmierci trwa nadal, nawet jeśli świadomość ta jest zmieszana z wieloma błędami i przesadami. Kościół nie chciał zaprzeczać temu ziarnu prawdy, które w takiej czy innej formie tkwiło w duszy pogan, ale starał się je skorygować.

W Kościele kult męczenników istniał od samego początku. Około IV wieku n.e. upamiętnienie męczenników obchodzono w pierwszą niedzielę po Pięćdziesiątnicy. W 609 r. n.e. papież Bonifacy IV przeniósł tę uroczystość na święto Wszystkich Świętych, 13 maja. W 732 r. n.e. papież Grzegorz III ponownie przeniósł święto *Wszystkich Świętych* (w języku staroangielskim „*All Hallows*”) na 1 listopada, a dzień poprzedzający stał się znany jako Wigilia Wszystkich Świętych, od której pochodzi skrócona

forma **Halloween**.

Bezpośrednia bliskość dat sugeruje, że zmiana w upamiętnianiu przez Kościół zmarłych była spowodowana chęcią skorygowania kultu przodków. Ostatnia zmiana wskazuje, że celtyckie pogańskie święto *Samhain* również pozostało w świetle chrześcijańskim.

Rozszerzenie się święta

To pogańskie święto – przede wszystkim religijne – zachowane w skarbcach irlandzkiej kultury nawet po chrystianizacji społeczeństwa, pojawiło się ponownie wraz z masową migracją Irlandczyków do Stanów Zjednoczonych po wielkim głodzie, który dotknął kraj w latach 1845-1846.

Imigranci, aby zachować swoją tożsamość kulturową, zaczęli obchodzić różne własne święta jako czas spotkań i rekreacji, w tym *All Hallows*. Być może bardziej niż święto religijne, było to święto bez odniesień religijnych, związane ze świętowaniem obfitości zbiorów.

Zachęciło to do odrodzenia starożytnego celtyckiego użycia latarni, a ludzie zaczęli używać nie rzepy, ale dyni ze względu na jej większy rozmiar i miękkość, która sprzyjała rzeźbieniu.

W pierwszej połowie XX wieku pragmatyczny duch Amerykanów – wykorzystując okazję do zarobienia pieniędzy – rozszerzył to święto na cały kraj, a kostiumy i stroje na Halloween zaczęły pojawiać się na rynkach na skalę przemysłową: duchy, szkielety, czarownice, wampiry, zombie itp.

Po 1950 roku święto zaczęło rozprzestrzeniać się również w szkołach i domach. Pojawił się zwyczaj pukania przez dzieci do domów z prośbą o poczęstunek z wyrażeniem: „*Cukierek albo psikus?*”.

Kierując się interesami komercyjnymi, doprowadziło to do powstania prawdziwego święta narodowego o świeckich konotacjach, pozbawionego elementów religijnych, które było eksportowane na cały świat, zwłaszcza w ostatnich

dziesięcioleciach.

Refleksja

Jeśli przyjrzymy się bliżej, elementy znalezione w celtyckich rytuałach pogańskiego festiwalu *Samhain* pozostały. Są to ubrania, latarnie, groźby przekleństw.

Stroje są potworne i przerażające: duchy, przerażające klauny, czarownice, zombie, wilkołaki, wampiry, głowy przebite sztyletami, oszpecone zwłoki, diabły.

Ohydne dynie wyrzeźbione jak odcięte głowy z makabrycznym światłem w środku.

Dzieci chodzące po domach i pytające „Cukierek albo psikus?”. W dosłownym tłumaczeniu przypomina „klątwę lub ofiarę” druidzkich kapłanów.

Najpierw zadajmy sobie pytanie, czy te elementy można uznać za godne kultywowania. Od kiedy to, co przerażające, makabryczne, mroczne, przerażające, beznadziejnie martwe definiuje ludzką godność? Są one rzeczywiście skandalicznie oburzające.

I zastanówmy się, czy to wszystko nie przyczynia się do kultywowania okultystycznego, ezoterycznego wymiaru, biorąc pod uwagę, że są to te same elementy, których używa mroczny świat czarów i satanizmu. I czy *mroczna* i *gotycka* moda, podobnie jak wszystkie inne dekoracje z makabrycznie rzeźbionych dyń, pajęczyn, nietoperzy i szkieletów, nie sprzyja zbliżeniu się do okultyzmu.

Czy to przypadek, że tragiczne wydarzenia regularnie mają miejsce w związku z tym festiwalem?

Czy to przypadek, że w te dni regularnie dochodzi do profanacji, poważnych wykroczeń przeciwko religii chrześcijańskiej, a nawet świętokradztwa?

Czy to przypadek, że dla satanistów głównym świętem, które wyznacza początek satanistycznego roku, jest *Halloween*?

Czy nie powoduje ono, zwłaszcza u młodych ludzi, oswojenia się z mentalnością magiczną i okultystyczną, odległą i sprzeczną z wiarą i kulturą chrześcijańską, zwłaszcza w czasach, gdy

chrześcijańska *praxis* jest osłabiona przez sekularyzację i relatywizm?

Przyjrzyjmy się kilku świadectwom.

Brytyjka **Doreen Irvine**, była kapłanka satanistyczna nawrócona na chrześcijaństwo, ostrzega w swojej książce *From Witchcraft to Christ*, że taktyka stosowana w podejściu do okultyzmu polega właśnie na proponowaniu okultyzmu w atrakcyjnych formach, z tajemnicami, które interesują, przedstawiając wszystko jako naturalne, a nawet współczujące doświadczenie.

Założyciel Kościoła Szatana, **Anton LaVey**, otwarcie deklaruje radość z tego, że ochrzczeni uczestniczą w święcie Halloween: „Cieszę się, że chrześcijańscy rodzice pozwalają swoim dzieciom **adorować diabła przynajmniej jedną noc w roku. Witamy na Halloween**”.

Ks. Aldo Buonaiuto, ze Służby Antykultowej Stowarzyszenia Wspólnoty Papieża Jana XXIII, w swoim artykule *Halloween. Diabelska sztuczka*, ostrzega nas, że „czciciele szatana biorą pod uwagę ‘energie’ wszystkich tych, którzy, nawet jeśli tylko dla zabawy, przywołują świat ciemności w perwersyjnych rytuałach praktykowanych na jego cześć, przez cały październik, a zwłaszcza w nocy z 31 października na 1 listopada”.

Ojciec Francesco Bamonte, egzorcysta i wiceprezes Międzynarodowego Stowarzyszenia Egzorcystów (były prezes tego stowarzyszenia przez dwie kolejne kadencje), ostrzega:

„Moje doświadczenie, wraz z doświadczeniem innych księży egzorcystów, pokazuje, jak Halloween, w tym okres czasu, który do niego przygotowuje, stanowi dla wielu młodych ludzi uprzywilejowany moment kontaktu z rzeczywistościami sekciarskimi lub w każdym razie związanymi ze światem okultyzmu, z nawet poważnymi konsekwencjami nie tylko na poziomie duchowym, ale także na poziomie integralności psychofizycznej. Przede wszystkim należy powiedzieć, że to

święto kładzie nacisk na brzydotę. A poprzez zaszczepianie dzieciom brzydoty, upodobania do tego, co okropne, zdeformowane, potworne, stawiane na tym samym poziomie, co piękne, w jakiś sposób ukierunkowuje je na zło i rozpacz. W niebie, gdzie panuje tylko dobro, wszystko jest piękne. W piekle, gdzie panuje tylko nienawiść, wszystko jest brzydkie". [...]

„Na podstawie mojej posługi jako egzorcysty mogę stwierdzić, że Halloween jest w kalendarzu magów, praktykujących okultyzm i czcicieli szatana jednym z najważniejszych ‘świąt’; w związku z tym jest dla nich źródłem wielkiej satysfakcji, że umysły i serca tak wielu dzieci, nastolatków, młodych ludzi i nielicznych dorosłych są skierowane na makabrę, demony, czary, poprzez przedstawienie trumien, czaszek, szkieletów, wampirów, duchów, stosując się w ten sposób do szyderczej i złowieszczej wizji najważniejszego i decydującego momentu istnienia człowieka: końca jego ziemskiego życia. ” [...]

„My, kapłani egzorcysty, niestrudzenie ostrzegamy przed tym wydarzeniem, które nie tylko poprzez niemoralne lub niebezpieczne zachowanie, ale także poprzez lekkość rozrywki uważanej za nieszkodliwą (i niestety coraz częściej goszczącej nawet w przestrzeniach parafialnych) może zarówno przygotować grunt pod przyszłe niepokojące działanie, nawet ciężkie, ze strony diabła, jak i pozwolić Złemu wpływać i oszpecać dusze młodych”.

To właśnie młodzi ludzie w szczególności cierpią z powodu powszechnego wpływu zjawiska Halloween. Bez poważnych kryteriów rozeznania ryzykują, że przyciągnie ich brzydota, a nie piękno, ciemność, a nie światło, niegodziwość, a nie dobro.

Musimy zastanowić się, czy nadal obchodzić święto ciemności, *Halloween*, czy święto światła, *Wszystkich Świętych*...

Prawdziwy ślepiec

Starożytna perska bajka opowiada o człowieku, który miał tylko jedną myśl: posiąść złoto, całe możliwe złoto.

Była to żarłoczna myśl, która pożerała jego mózg i serce. Nie mógł więc mieć żadnych innych myśli, żadnego innego pragnienia poza złotem.

Kiedy przechodził obok witryn sklepowych w swoim mieście, widział tylko te należące do złotników. Nie dostrzegał wielu innych wspaniałych rzeczy.

Nie zauważał ludzi, nie zwracał uwagi na błękitne niebo czy zapach kwiatów.

Pewnego dnia nie mógł się powstrzymać: pobiegł do sklepu jubilerskiego i zaczął wypełniać kieszenie złotymi bransoletkami, pierścionkami i broszkami.

Oczywiście, gdy wychodził ze sklepu, został aresztowany. Żandarmi powiedzieli mu: „Ale jak mógł pan myśleć, że ujdzie to panu na sucho? Sklep był pełen ludzi”.

„Naprawdę?” powiedział zdumiony mężczyzna. „Nie zauważyłem. Widziałem tylko złoto”.

„Mają oczy, a nie widzą” – mówi Biblia o fałszywych bożkach. Można to powiedzieć o wielu dzisiejszych ludziach. Są oszołomieni blaskiem rzeczy, które świecą najjaśniej: tych, które codzienna reklama przesuwają przed naszymi oczami, jakby były wahadełkiem hipnotyzera.

Pewnego razu nauczyciel zrobił czarną plamkę na środku pięknej białej kartki papieru, a następnie pokazał ją swoim uczniom.

„Co widzicie?” zapytał.

„Czarną plamkę!” odpowiedzieli chórem.

„Wszyscy widzieliście czarną plamkę, która jest malutka”, odparł nauczyciel, „a nikt nie widział dużej białej kartki”.

W Talmudzie, który gromadzi mądrość żydowskich nauczycieli z

pierwszych pięciu wieków, napisano: „W przyszłym świecie każdy z nas zostanie wezwany do rozliczenia się ze wszystkich pięknych rzeczy, które Bóg umieścił na ziemi, a których nie chcieliśmy zobaczyć”.

Życie to seria chwil: prawdziwy sukces polega na przeżyciu ich wszystkich.

Nie ryzykuj utraty wielkiej białej kartki papieru w pogoni za czarną plamką.

Łódź

Pewnego wieczoru dwóch turystów, którzy przebywali na kempingu nad brzegiem jeziora, postanowiło przepłynąć jezioro łodzią, aby napić się w barze na drugim brzegu.

Zostali tam do późnej nocy, opróżniając sporą ilość butelek.

Kiedy wyszli z baru, trochę się kołysali, ale udało im się zająć miejsca w łodzi, aby wyruszyć w drogę powrotną.

Zaczęli energicznie wiosłować. Pocąc się i dysząc, ciężko walczyli przez dwie godziny. W końcu jeden powiedział do drugiego:

– Czy nie uważasz, że już dawno powinniśmy dotknąć drugiego brzegu?

– Oczywiście, odpowiedział drugi, ale być może nie wiosłowaliśmy wystarczająco.

Podwoili swoje wysiłki i wiosłowali z determinacją przez kolejną godzinę. Dopiero gdy nastał świt, zdali sobie sprawę ze zdumienia, że nadal znajdują się w tym samym miejscu.

Zapomnieli rozwiązać grubą linę, którą łódź była przywiązana do moła.

Ileż to osób przez cały dzień boryka się z problemami, do niczego nie dochodząc, ponieważ tak naprawdę nie uwalniają się od więzów i złych nawyków.